

# Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

## TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki</i> : Poezya w polityce . . . . .	481
<i>Teofil Merunowicz</i> : Kwestya upowszechnienia ubezpieczeń w Galicyi	488
<i>M. Wierzbński</i> : Józef Chamberlain . . . . .	493
<i>Karol Wróblewski</i> : Lukrecyusz i nowoczesny pesymizm . . . . .	501
<i>Pius Twardowski</i> : 212. rocznica Sobieskiego pod Wiedniem . . . . .	506

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



## WIEDEN

Skład główny we Wiedniu w księgarni Włh. Frick, I. Graben Nr. 27  
 we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurawicza  
 w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895

## TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokołowski*: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydlewski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *Ġ. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koalicyi. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterlinck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacja opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacja polityczna w Austrii. — *Dr. August Sokołowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczna. — *S. Z. Daniński*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej”. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej. — *Fraszki Rodocia*. — *Roman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No. 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jermaka. — *W. Gedrajč*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.*: Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełom”. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim.
- No. 12. Konfederacja Rzeszowska. — *M. Wierzbński*: Prof. T. H. Huxley. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim. — *Ludwik Szczepański*: W ramach z filigranem.
- No. 13. *Dr. Witold Lewicki*: Bańki mydlane. — *Prof. Ludwik Gumpłowicz*: o sprawie polskiej. — *Stanisław Lewandowski*: Głódna sztuka. — *Karol Wróblewski*: Współczesne malarstwo angielskie. — *W. i Skrucha*.
- No. 14. *Dr. Witold Lewicki*: Walka klas. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Filozofia współczesna o nieśmiertelności duszy. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Władza państwowa.
- No. 15. *Dr. Witold Lewicki*: Do broni. — *II. S.*: Pamiętnik bratańca królewskiego *Ks. Stanisława Poniatowskiego*. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Metafizyka duszy.

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa  
obniżamy prenumeratę do

**połowy**

to jest kwartalnie 1 zlr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.

# Przełom.

→ Wiedeń, dnia 7 września 1895. ←



## Poezya w polityce.

Z obowiązku publicystycznego zapisać dziś musimy poważny głos, który się pewno szerokiem echem odbije po kraju: Centralny komitet wyboreczy dla Galicyi wschodniej wydał odezwę do wyborców. Długo zwlekał komitet centralny dla Galicyi wschodniej ze swemi obradami, długo szukał swych członków, rozprószonych po szerokim świecie od fjordów norweskich aż do Złotego Rogu. Nareszcie znalazł się, zebrał się, długo „radził na wspólnej radzie“ i uradził taką piękną odezwę do kraju, że nie wiedzieć, co w niej więcej podziwiać: czy poetyczność myśli, czy tła historyczność, czy stylu patetyczność, czy ten spokój i senatorską powagę, które odznaczają to szacowne pismo.

Przy wszystkich tych zaletach, pismo to nosi na sobie silne indywidualne piętno swego twórcy, który pomimo wszystkie swoje poematy, co na polskim Parnasie miejsce mu zdobywają, mimo całą filozofią i wszystkie przeliczne nauk i ścisłej wiedzy gałęzi, pozostaje dla nas politykiem jagiellońskich idei, i za tę myśl wypowiedzianą śmiało i rzuconą jak drogowskaz, zaskarbił sobie prawo do wdzięczności narodu. Więc

pismo z dnia 5. września b. r. jest ożywione najlepszymi chęciami osiągnięcia zgody wewnętrznej, wywodzi historję od króla Ćwieka, jak nasz kraj uciskała biurokracya, jak urzędnicy obcy zniesli „zarzewie bratobójczej walki“, wskazuje na solidarność narodową „jako jedyną naszą obronę wobec nacisku postronnych a wrogich żywiołów“, więc przestrzega przed „zgubną waśnią wewnętrzną“, „przed apostołami narodowej „a l b o“ społecznej nienawiści“, nawoływa do wspólnej pracy „Polaków i Rusinów, chaty i dworu, wsi i miasta“, zapewnia, że sobie „nie damy wydrzeć ziemi, którą zamieszkujemy, że się nie wyrzekniemy spuścizny i pamięci przodków, którzy świętą tę ziemię tyle razy krwią swą zlewali, walcząc za wiarę i Ojczyznę“, ślubuje, że „nie wyrzekniemy się nadziei, iż praca ciągła pokoleń zdołądzi dla nas to stanowisko, które nam się pośród narodów, zgodnie z prawami Bożemi należy“. W tym ustępie jest odezwa najsiłniejszą, jest pełną wiary i podnoszącą serca.

Pod względem politycznym odezwa nie przynosi żadnej nowej myśli, powtarza znany postulat rozszerzenia zakresu działania Sejmu krajowego, nie mówiąc ani w jakim kierunku, ani jakimi środkami cel ten osiągnąć można. Ustęp o pozyskaniu zaufania monarchy, „który nie przestał nas otaczać swoją sprawiedliwą opieką i którego imię pozostanie drogiem wdzięcznemu narodowi“ zrobił we Wiedniu wczoraj wielkie wrażenie, wszystkie dzienniki podkreśliły go i omawiały. Poza tem politycznego znaczenia odezwa niema.

Programu na przyszłość nie stawia żadnego, o reformie wyborczej wymowne milczenie, o reformie administracyi gminy ani słowa. Program ekonomiczny zlekka dotknięty.

Odezwa wspomina o pracy nad podźwignięciem dobrobytu i oświaty, pamięta o tem, „że nędza dokucza rolnikom i zmusza wielu co roku do emigracyi w kraje zamorskie“. Przyczyn tej nędzy szuka w ekonomicznych warunkach bytu, „w skrępow-

niu woli Sejmu przez zbyt szczupły wymiar jego prawodawczej władzy“. Przyczyny tego dopatruje się odezwa „po części wreszcie i w tem, że trzeba czasu i doświadczenia, aby znaleźć najpewniejszą drogę, wiodącą do pomnożenia krajowej pomyslności“.

Więc jeszcze nie dość zwlekania! Jeszcześmy nie gotowi? jeszcze nie znamy dróg? Jeszcze nam trzeba czasu? Jeszcze nam trzeba „doświadczeń“, jeszcześmy w szkole nieszczęść nie nauczyli się zerwać z polityką kunktatorstwa?

Nie przypominaj to bajki Niemcewicza:

Był żółw leniwo-nogi,  
 Głęboko myślał przez całe dwa lata,  
 Czy miał wyleźć, czy w sadzawce zostać . . .  
 Wylazł nakoniec . . .  
 Żółw nasz . . . łączy i powagę,  
 Łebek wyscibia i oczki otwiera,  
 Na wszystkie strony stokroć się obziera,  
 Potem łapkę wystawia, a przez chwilę długą  
 Dumając, dalej wystawia i drugą, —  
 Znowu rozważa i myśli, aż przecie  
 Poznał, że trzeba wystawić i trzecią,  
 Nakoniec rzekł tę prawdę niesłychaną:  
 Kiedy czwartej nie ruszę, na miejscu zostanę.

W tem jest nietylko usprawiedliwienie, ale i zapowiedź polityki żółwiego tempa, z której raz trzeba nam się najradykałniej wyleczyć. Poniżej podajemy ten dokument ważny w całości.

\* \* \*

„Kraj nasz uciskano przez długie lata; rządzili w nim obcy urzędnicy a spoglądali ze wzgardą, z nienawiścią na to, co dla nas jest świętem i droższem od życia; chcieli nas oduczyć mowy ojczystej, waśnili chłopca z panem, Rusina z Polakiem, wiedząc, że poróżnionych łatwiej opanować i nękać, dawne bogactwo kraju zatracili, nie dawali się rozwijać oświacie, utrzymywali pańszczyznę, wbrew woli patryotycznego obywatelstwa, za miłość Ojczyzny prześladowali.

„Nadano Austrii konstytucyę przed trzydziestoma i czterema laty i odtąd my jedni, z pośrodku braci naszej, możemy pracować swobodnie i upominać się o nasze dobro. Wiedząc, żeśmy zewsząd otoczeni przez nieprzyjaciół, że mamy się ubijać o warunki życia, żeśmy powinni z trudem i zaparciem się siebie pracować nad ziszczeniem najdroższych nadziei, poczuliśmy się jednym zastępem i postanowiliśmy być zastępem karnym, narodem solidarnym. Nie wyparł się nikt swoich przekonań i owszem głosił je swobodnie na wspólnej radzie, ale tam gdzie chodziło o walkę z nieprzyjacielem, albo o wielką sprawę narodu lub kraju, szli wszyscy zaci obywatele kraju razem, wiedząc, że odstępca od wielkiej, od świętej sprawy jest ten, który opuszcza szeregi, że sprzymierzeńcem zewnętrznego nieprzyjaciela jest ten, który wstępując w ślady dawnej, wrogiej nam biurokracyi — rozsiewa zarzewie bratobójczej waśni.

„I nie brakło błogich owoców naszej roztropnej solidarności. Pozyskaliśmy zaufanie monarchy, który nie przestał nas otaczać swoją sprawiedliwą opieką i którego imię pozostanie drogim wdzięcznemu narodowi. Ci nawet, którzy nas nazywali niegdyś lekkomyślnym i swarliwym narodem, muszą nas poważać i liczyć się z nami. Rząd kraju naszego spoczywa dziś w naszym ręku, możemy głośno wyznawać miłość Ojczyzny, i pracować swobodnie dla dobra kraju, w którym pozostało jeszcze tyle niezwalczonej nędzy i ciemnoty.

„Wodzem w pracy wspólnej jest przez kraj wybrany sejm. Nie posiada niestety tej władzy prawodawczej, która mu się słusznie należy, jeśli ma tworzyć ustawy, zgodne z potrzebami kraju o zupełnie odrębnych stosunkach, wyrobionych przez długi tok dziejów; odebrano mu, wbrew obowiązującej konstytucyi, prawo wysyłania delegacyi do rady państwa; on jednak jest wyrazem woli kraju; delegacya w radzie państwa nie przestała uznawać zwierzchnictwa sejmu i ma siebie zawsze za poselstwo przez sejm wysłane, a kraj oczekuje od sejmu wskazówki co do tego, jak się prawi obywatele winni zachowywać w ważnych sprawach politycznych, cały naród, cały kraj obchodzących. Sejmy nasze pracowały wytrwale nad podźwignięciem oświaty i dobrobytu znękanego naszego kraju, otaczały ubogi, a tak długo zaniedbany nasz lud pieczołowitą opieką, nie szcędząc w tej mierze ofiar. Jeśli wszystkiego nie dokonały, jeśli nie wszystkie nasze ustawy są tem, czem być powinny, jeśli kraj pozostaje jednym z najuboższych, jeśli nędza dokuca rolnikom i zmusza wielu co roku do emigracyi w kraje zamorskie, leży wina po części w okolicznościach od żadnego niezawisłych prawodawstwa, po części w skrępowaniu woli sejmu przez zbyt

szczupły wymiar jego prawodawczej władzy i przez ubóstwo kraju, nie mogącego się zdobyć na wielkie koszty i wkłady; po części wreszcie i w tem, że trzeba czasu i doświadczenia, aby znaleźć najpewniejszą drogę, wiodącą do pomnożenia krajowej pomyślności. A zanim się na tej drodze dojdzie do upragnionego celu, zadaniem przyszłego sejmu będzie, pracować z podwójną usilnością nad poprawą wszystkich stosunków naszych, a zadanie to trudne, pomagające się u posłów, nietylko zacności, ale także rozumu, nauki i rozważli.

„Macie obywatele przystąpić do wyboru sejmu, od którego tyle zależy, a zatem do najważniejszej obywatelskiej czynności. Przystępujcie do tego dzieła w skupieniu ducha, świadomi doniosłości obowiązku, który spełniacie. Wybierajcie tylko takich mężów, do których macie zaufanie i którzy będą w sejmie waszych bronili przekonań. Ale pamiętajcie, abyście wybierali posłów, którzyby łączyli ze czcią dla religii, gorącą miłością dla Ojczyzny i zrozumieniem potrzeb państwa, postanowienie, że będą bronili powagi sejmu w całej pełni, że się będą upominali o niezbędne rozszerzenie jego władzy ustawodawczej, że będą przestrzegali solidarności narodowej, jedynej naszej obrony wobec nacisku postronnych a wrogich żywiołów i że się nie dadzą porwać do zgubnej waśni wewnętrznej, a będą pracowali niezmiernie nad podniesieniem narodowej świadomości, oświaty i dobrobytu mieszkańców naszego kraju.

„Ufamy wam, przekonani, że przystępując do wyborów, zachowacie się tak, jak na poważnych a zacnych obywateli przystało, że nie dacie przystępu apostołom narodowej albo społecznej nienawiści, narażającej na ztratę wszystko to, co przez trzydzieści lat zdobyto, że nie zapomnicie, iż lepsza przyszłość da się tylko osiągnąć wspólną pracą Polaków i Rusinów, chaty i dworu, wsi i miasta.

„Rodacy! Zamieszkujemy ziemię dotąd ubogą, ale droższą nam nadewszystko, i nie damy jej sobie wydrzeć, nie wyrzekniemy się spuścizny i pamięci przodków, którzy tę świętą ziemię tyle razy krwią swoją zlewali, walcząc za wiarę i Ojczyznę, nie wyrzekniemy się nadziei, iż praca ciągła pokoleń będzie dla nas to stanowisko, które nam się pośród narodów, zgodnie z prawami Bożemi, należy. Ręka w rękę pójdziemy dziś do wyborów, ręka w rękę będziemy zawsze kroczyć po mozolnej drodze wiodącej do lepszej, do wspólnej, do wielkiej przyszłości. Nie nas z tej drogi nie zwiedzie, nikt naszego nie rozbije braterstwa. Ubodzy i poniżeni dochodzą zgodą do bogactwa i potęgi, najmoźniejsi stoczą się przez niezgodę w przepaść

nędzy i niewoli. Bóg zgodnym. Bog kochającym wspólną Matkę, nie tracącym nadziei, wytrwałym, gotowym do ofiar, błogosławić będzie; Bóg im zgotuje lepszą przyszłość, a spełni ich gorące nadzieje.“

\* \* \*

Takie orędzie poszło po kraju. W tem złudzeniu, że one wicia rozejdą się od ziemi do ziemi, od grodu do grodu, od sioła do sioła, od chaty do chaty i rozejdzie się echo szeroko i odbije się w sercach ludności. Tymczasem w rzeczywistości skutek będzie inszy. Orędzia nie głosi ani ksiądz z ambony, ani wójt każe rozbębniac po wsi — żaden woźny go nie roznie sie po kraju. Orędzie to skazane jest na druk i bibułę, a że wiemy, iż lud nasz z wyjątkiem „Przyjacielu Ludu“, „Wieńca“ i „Pszczółki“, gazety Związku chłopskiego innych pism nie czyta, więc się do ludu, a więc tam, dokąd było pisane, orędzie to nie dostanie. Nasze koło czytających nie kryje się wcale z kołem wyborców. Mamy około dziesięć razy tyle wyborców, ile czytających dzienniki. Więc na sto tysięcy czytających ten i ów rzuci okiem na tę odezwę, mało który z wyborców miejskich się zastanowi i rozważy, bo on już jest z góry uprzedzony i nastawiony przeciw komitetowi centralnemu, wyjątkowo czytana będzie odezwa w kołach wyborców włościan. Więc znów zostaje szlachta, siedząca po dworach, na wsi i w mieście, inteligencya wielkomiejska i małomiasteczkowa i tu i ówdzie ktoś ciekawszej natury, który do gazet zagląda i chciałby wiedzieć co piszą. Więc to orędzie nie trafia tam, dokąd jest adresowane. A gdyby nawet trafiło, nie może zrobić wrażenia, bo jest pisane w stylu larmoyant jakiejś legendy wieków, a nie w stylu odezwy. Odezwa do narodu ma być jak proklamacya, jak rozkaz dzienny: jasna, krótka, bez frazowania, bez rozpamiętywań i sentymentów. Ma natychmiastowo do czynu pobudzać — ma jak piorun uderzać.



Orędzie hr. Wojciecha Działuszyckiego jest jak niedokończony poemat, jest jak muzyczny fragment o zawieszonyj kadencji . . .

To nie jest orędzie, któreby służyło za sztandar do stoczenia walki wyborczej, bo mu brak programu, brak platformy politycznej.

Uśpionych nie obudzi, zbłąkanych nie odnajdzie, zwątpiałych nie pokrzepi i jakiś smutek przechodzi przez te rewelacye, jakieś rozmarzenie tkwi w tych fatamorganach, wywoływanych fantazyą autorów: jest i brak kierunku, płynący z braku woli naszych najszlachetniejszych — Hamletów.

I mimowoli trudno się oprzeć uwadze: Wam się zdaje, że jesteście realistami, żeście się zerwali do czynu politycznego, żeście istotnie dokonali dzieła — *et vous Messieurs, vous faites de la poésie!*

*Witold Lewicki.*



## Kwestya upowszechnienia ubezpieczeń w Galicyi.

Sprawa zaprowadzenia ustawowego przymusu asekuracyjnego od szeregu lat nie schodzi z porządku dziennego w sejmach krajowych i w Radzie państwa. Według postanowień konstytucyi ustawodawstwo o podobnych przedmiotach należy do Rady państwa. Sejmy mogą przeto dopominać się o wydanie pewnych ustaw w zakresie asekuracji, lecz uchwalane mogą być te ustawy tylko we Wiedniu. Wszystkie też sejmy oddawna dopominają się o ustawę, zaprowadzającą przymus asekuracyjny.

Czemż jednak dotąd niema żadnego skutku z tych mnogich rezolucyj sejmowych?

Oto powstrzymuje załatwienie kwestyi zaprowadzenia w Austrii przymusu ubezpieczania budynków od szkód ogniowych głęboka różnica zasadnicza pomiędzy zapatrywaniem na sposób przeprowadzenia tego przymusu — sejmów krajowych, a fachowych referentów spraw asekuracyjnych w biurach ministerstwa handlu. Wiedeńska biurokracya nie chce bowiem inaczej zrozumieć zaprowadzenie przymusu asekuracyjnego, jak tylko przez utworzenie jedyne, całe państwo obejmującego i we Wiedniu scentralizowanego; rządowego instytutu dla ubezpieczeń ogniowych, gdy sejmy poszczególnych krajów koronnych takiej centralizacyi ubezpieczeń nie chcą i stanowczo jej opierają się.

W szczególności zaś, co się tyczy sejmów galicyjskiego, to on konsekwentnie uchwała co roku niemal, od r. 1888 rezolucye, dopominające się o orzeczenie w drodze ustawodawstwa państwowego, obowiązku dla właścicieli każdego budynku ubezpieczania się od szkód ogniowych — jednakowoż z tem zastrzeżeniem, ażeby szczególne postanowienia co do sposobu przeprowadzenia przymusu asekuracyjnego były pozostawione sejmom. Drugą zaś zasadą przez nasz sejm w tej sprawie przyjętą jest, iż każdemu z ubezpieczających się powinna być pozostawioną swoboda wyboru zakładu,

w którym miałyby on swoje budynki ubezpieczać — a na odwrót znów, ażeby zakłady asekuracyjne miały swobodę w wyborze ryzyk, t. j. izby im wolno było w miejscowościach, które mają złą konduite, albo wcale nie przyjmować ubezpieczeń, albo też przyjmować je z obostrzonymi warunkami.

Były minister handlu w gabinecie koalicyjnym, hr. Wurmbbrand, jako poseł, postawił jeszcze w r. 1891 w Izbie poselskiej Rady państwa wniosek o załatwienie ustawodawcze kwestyi obowiązkowych ubezpieczeń ogniowych w duchu autonomicznym. Gdy został ministrem handlu, do którego departamentu należą właśnie sprawy asekuracyjne, z pewnością rad byłby doprowadzić tę sprawę do rozwiązania w duchu swojego własnego wniosku, opierającego się na uchwałach sejmu styryjskiego; przed objęciem teki ministerjalnej był bowiem hr. Wurmbbrand marszałkiem tegoż sejmu. Lecz ani usposobienie większości Izby przeciwne centralizacji ubezpieczeń ogniowych w państwowym instytucie, ani nawet minister handlu stanowczo przeciwny tym projektom, nie zdołali złamać żelaznego oporu „fachowych“ referentów w ministerstwie handlu przeciwko załatwieniu sprawy przymusu asekuracyjnego w duchu autonomicznym — i dotąd ona wcale załatwioną nie jest.

W sejmie galicyjskim zajmowałem się specjalnie sprawą upowszechnienia asekuracji w ogólności, a w szczególności pilnowałem sprawy przymusu ubezpieczania budynków. Uważam bowiem, iż dla kraju, który traci co roku około trzech milionów złr. w nieubezpieczonych wartościach przez pożary, uogólnienie ubezpieczeń ogniowych jest sprawą dość ważną. Wskutek moich wniosków sejm też trzykrotnie uchwały swoje i zastrzeżenia w sprawie przymusowej asekuracji ponawiał.

Od dawna jednak wyrobiłem sobie to przekonanie, że najlepszą byłoby polityką w tej sprawie, nie czekać na ustawowy przymus asekuracyjny, ale upowszechnić asekuracją w kraju w drodze dobrowolnej. Rozumie się samo przez się, iż nigdy nie uważałem za możliwe przeprowadzenie praktyczne podobnych zamiarów w innej drodze, jak tylko za pośrednictwem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Pierwotnie powziąłem plan zbiorowego ubezpieczania całych miast i powiatów w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie za pośrednictwem reprezentacji powiatowych i miejskich. Opracowałem projekt przeprowadzenia tej myśli w porozumieniu z ś. p. Drem Piotrem Grossem, wówczas szefem reprezentacji lwowskiej Tow. wzaj. ubezpieczeń w Krakowie, który bardzo życzliwie tym projektem zajmował się, i z gorącym poparciem ze swej strony przedłożył go Dyrekcji.

Ku naszemu zdumieniu przyjęto jednak w Krakowie ów projekt nieprzychylnie. A gdy w niedługim czasie zdarzyła mi się sposobność mówić o tem z ś. p. Józefem Mrazkiem, dowiedziałem się od niego, że zarząd Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie nie przyjął tego projektu, ponieważ doświadczenie jego przekonało go, iż bardzo nagie uogólnienie asekuracji ogniowej w poszczególnych miejscowościach staje się dla nieoświeconych warstw ludności tak silną pokusą do zbrodniczych podpalai, że zakłady asekuracyjne zmuszone są bronić się przeciwko stratom z tego powodu bardzo silną reasekuracją, podwyższaniem premij, a nawet wprost wykluczaniem pewnych miejscowości od ubezpieczania. Mrazek wskazał mi wówczas jako praktyczniejszy sposób upowszechnienia asekuracji ogniowej dobrowolne związki asekuracyjne, jakich parę istnieje na Szląsku austriackim z oparciem o krakowskie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń pod opieką miejscowego Towarzystwa rolniczego. Polegają one na tej zasadzie, iż członkowie Towarzystwa składają deklaracją, mocą której zrzekają się z góry na rzecz kasy wspólnej pewnej części zwrotów premii asekuracyjnej (dywidendy). Dochód, jaki stąd wynika, służy w pierwszym rzędzie na pokrycie kosztów administracji interesu asekuracyjnego, na zakupno narzędzi pożarniczych, wspieranie ochotniczych straży ogniowych, ułatwienia dla członków w zaprowadzaniu dachówek ogniotrwałych i t. p.

Jeden z moich przyjaciół na Szląsku dostarczył mi kopii kontraktu zawartego pomiędzy Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, a rolniczo-leśnem Towarzystwem dla północno-zachodniego Szląska w Barzdorf, względem zorganizowania z gmin wiejskich i miejskich tego okręgu związku asekuracyjnego. Nawiasowo mówiąc, związek ten jest tylko naśladownictwem licznych podobnych związków asekuracyjnych zaprowadzonych w Czechach przez tamtejszą Radę kultury krajowej.

Pochwyciłem tę ideę z zapalem. I znowu próbowałem zwrócić uwagę na Rady powiatowe, jako najwłaściwszy organ do zajmowania się podobnemi sprawami, mającemi dobro ekonomiczne ludności na celu. Pierwotny plan upowszechnienia ubezpieczeń ogniowych rozszerzyłem jeszcze na agitacją w kierunku upowszechnienia w masie ludności naszego kraju ubezpieczeń na życie — opierając się w tym względzie na podobnych wnioskach, które pojawiły się równocześnie w sejmach dolno-austriackim i morawskim — i przedłożyłem naszemu sejmowi w tegorocznej sesji wniosek następującej treści:

„Wysoki Sejm raczy uchwalić:

„Poleca się Wydziałowi krajowemu, a że by w interesie upowszechnienia w masach ludowych naszego

kraju dobrodziejstw asekuracji od szkód ogniowych i na życie ludzkie, zasięgnął opinii kół fachowych, Wydziałów krajowych niektórych innych krajów koronnych, czeskiej Rady kultury krajowej, a wreszcie Wydziałów powiatowych w kraju — co do następujących pytań:

„1. Czy, i w jakiej formie możnaby i w Galicyi zaprowadzić podobne związki rolników dla zbiorowej asekuracji od szkód ogniowych, jakie istnieją w Czechach, albo też na wzór rolniczych związków asekuracyjnych, jakie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie od szeregu lat utrzymuje na Szląsku?

„2. W jaki sposób możnaby dla ochrony posiadłości włościańskich od zadłużania i rozdrabniania skutecznie upowszechnić pomiędzy tą warstwą ludności zwyczaj zapewniania sobie funduszów na spłatę działów familijnych, wianowanie dzieci i t. p. większe wypłaty — w drodze asekuracji na życie?

„3. O ile i w jakiej formie możnaby w tej akcji, mającej dobro ludu na celu, z pomyslnym skutkiem zużytkować współdziałanie Reprezentacyj powiatowych?

„O wyniku przedsięwziętych w tym kierunku badań zda sprawę Wydział krajowy, ewentualnie przedłoży odpowiednie wnioski na najbliższej sesyi.“

Uchwałą z 24. stycznia 1895 Sejm przydzielił ten wniosek do sprawozdania komisji administracyjnej, gdzie referat ten objął poseł Dr. Tadeusz Piłat — lecz go nie zreferował, zasłaniając się tem, iż przedmiot to nowy i zbyt rozległy, ażeby w przeciągu paru tygodni przed upływem sesyi mógł go należycie przestudować.

Z innej znów strony objaśniono mnie, iż Dyrekcyja Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, opierając się na wcale nie zachęcających doświadczeniach z ubezpieczeniami włościańskimi zarówno w dziale ogniowym, jakoteż i życiowym okazała się niechętną tendencyi mojego wniosku, i to może głównie skłoniło prof. Pilata, iż opierając się na tak wysoce poważnej opinii fachowej, zawahał się z opracowaniem stanowczych wniosków dla komisji i pelnej Izby.

Pełnego potwierdzenia oficjalnego, nieprzychylnego dla włościańskich ubezpieczeń we wielkiej masie, zarówno w dziale ogniowym, jakoteż i życiowym usposobienia Zarządu Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie dostarczyły rozprawy 34go ogólnego zgromadzenia członków tegoż Towarzystwa, odbytego w dniu 30. maja b. r. w Krakowie. Na tem zgromadzeniu Rada nadzorcza Towarzystwa przez usta swojego sprawozdawcy, Dra Władysława Kraińskiego stanowczo oświadczyła się przeciwko forsowaniu ubezpieczeń włościańskich — a o włościan głównie chodzi w akcji o upowszechnienie asekuracji

w obu działach: ognio wym i życio wym. Wywody swoje oparł on, jak już powyżej wspomniano, na dotychczasowych przykrych doświadczeniach z ubezpieczeniami włościańskimi, które dają wiele bardzo roboty w drobiazgowych interesach, a w rezultacie narażają Towarzystwo tylko na straty.

Dotąd atoli nie wyjaśniono, czy n. p. przez odpowiednią decentralizacją ubezpieczeń włościańskich, przez odpowiednie zarządzenia, które przeszkadzałyby do ubezpieczania budynków chłopskich ponad ich rzeczywistą wartość (co głównie staje się pokusą do podpalai rozmyślnych) i wogóle przez rozciągnięcie nad sprawą ubezpieczeń troskliwszej opieki światłych czynników miejscowych, nie możnaby uniknąć przykrych stron, jakie dotychczas interesa asekuracyjne z włościanami przedstawiały. Tak samo n. p. i Bank krajowy rękami i nogami broni się od interesów kredytowych z włościanami. A dlaczego? Oto dlatego, iż koniecznie według jednego szablonu chce traktować drobiazgowe pożyczki chłopskie i wielkie interesa hipoteczne. Jestem przekonany, że gdyby Bank krajowy ostatecznie uznać zechciał, iż jeden i ten sam mundur nie może nadać się na ludzi wielkiego i małego wzrostu, i manipulacją pożyczkową odpowiednio do właściwości każdego rodzaju hipotek urządził, to wówczas nie potrzebowałby prowadzić ustawicznej walki obronnej przeciwko nawałowi pożyczek włościańskich.

Również i w zakresie asekuracji należałoby, jak sądzę, zastosować manipulacją do właściwości interesu, złożonego z wielkiej masy drobiazgowych ryzyk. Wówczas też ustałyby owe niedogodności i straty, jakie wynikają z traktowania chłopskich ubezpieczeń według szablonu odpowiedniego dla większych ryzyk.

Tak obecnie przedstawia się sprawa przymusu asekuracyjnego i dążeń do upowszechnienia asekuracji w masach ludności w naszym kraju. Nie rusza się ona naprzód. Lecz kto zaręczy, iż centralistyczno-biurokratyczne wpływy wiedeńskie nie rozwiążą jej kiedyś, gdy my jeszcze ciągle będziemy się namyślali nad tem, czy i co nam czynić wobec niej wypada — w sposób dla interesów naszego kraju nie odpowiedni?

*Teofil Merunowicz.*



## Józef Chamberlain.

(Sylwetka.)

Jedno z pism angielskich pomieściło humorystyczny rysunek, zatytułowany: kto przewodniczy? na którym widzimy służącego, wiodącego na łańcuchu silnego psa. Pies, wyciągnąwszy kark, zdaża naprzód tak szybko, iż pociąga za sobą posługacza. Stojący opodal John Bull pyta portyera, dokąd prowadzi psa, na co odbiera odpowiedź, że nigdzie go nie prowadzi. „Dokąd zatem on ciebie prowadzi?” — pyta dalej John Bull — a służący, w godności swej głęboko dotknięty, mówi: „on mnie przecież wcale nie prowadzi!” „Dokąd więc zmierza ten pies?” — zapytuje wreszcie John Bull. „Nie wiem — brzmi odpowiedź, bo on zaprzepścił wszystkie swe wskazówki na drogę.“

Korpulentny posługacz, to Salisbury; pies, z monoklem w oku, to — Józef Chamberlain, minister kolonii i przywódca liberalnych unionistów. Szkic ten wiernie i dosadnie maluje stosunek tych dwóch temperamentem i tendencjami niezgodnych z sobą wódzów koalicji gabinetowej, maluje nietylko z punktu widzenia liberałów, lecz nawet torysów, którzy, znając przeszłość i charakter dzisiejszego ministra kolonii, z rzeczywistą obawą i z mniej lub więcej zamaskowaną niechęcią spoglądają na niego. Są w gronie torysów tacy — jak ujawnia n. p. artykuł w New Review — którzy wprost dowodzą konieczności wydarcia tego ciernia z organizmu konserwatywnego, zerwania z nim przy najpierwszej sposobności, lub, jak n. p. ministeryalny organ Standard, przy lada okazji pokazują temu psu swe zęby, jakby hołdując zasadzie, że „Der Hieb ist die beste Deckung“. W istocie potęga p. Chamberlain'a jest dziś wielką. Potrzeba będzie bardzo silnej dłoni i żelaznego łańcucha, aby utrzymać na wodzy człowieka tak wielkiej inicja-

tywy i pytanie, czy ten pies, z natury do prowadzenia skłonny, nie pokieruje krokami portyera ociężalej i gnuśnej natury. Pamiętajmy, że ten ex-radykalista, zwolennik Gladstona, home-rule'u, nie przejezdny wróg izby parów, zdołał wzbiec się na najwyższy niemal szczybel władzy i zasiadł na ławie ministerialnej obok swych dawnych nieprzyjaciół, pomimo że nie ma przyjaciół, nie ma zwolenników, którzyby spoglądali ku niemu jako ku wielkiemu kapłanowi pewnych idei, pomimo że sojusznicy traktują go z nieufnością i niechęcią, garsć popleczników nie zawsze chętnie idzie za jego głosem, liberalni lubują w strzelaniu doń z wszystkich łuków, a Irlandczycy palają nienawiścią. Józef Chamberlain jest najciekawszą postacią od czasu, gdy zgasł na horyzoncie politycznym Anglii świetny meteor, lord Randolph Churchill i w ogóle arcyciekawą i niezwykłą osobistością, istotnym bohaterem chwili.

Karyerę swą rozpoczął on w 1871 r., jako radny miasta Birmingham, na dość ciasnej arenie spraw lokalnych, która wszakże okazała się dość szeroką i wdzięczną dla dzielnego finansisty, obdarzonego niepospolitą rzutkością i sprężystością. W trzy lata później obrany burmistrzem podjął kilka wielkich prac amelioracyjnych i przeprowadził inne, przez swych poprzedników zapoczątkowane. I tak zakupił dla municypalności gazownię i wodociągi, pobudował ulice na miejscu kanału i zreorganizował urządzenia sanitarne. Birmingham, miasto będące „wielką wsią z ludnością miasta“ stało się dziś jednym z najwybitniejszych centrów w środkowych hrabstwach Anglii, a ustrój municypalny jego bywa stawiany za wzór innym miastom. W nagrodę obywatele Birminghamu wysłali go do parlamentu, jako swego przedstawiciela i pomimo różnych jego ewolucyj pozostali jego wiernymi sługami. Pod wpływem swego apostoła radykalne miasto stało się twierdzą liberalnych unionistów, obozu, który, strojąc się w kolory liberalizmu, służy celom torysów, dziwnie ich nieraz w praktyce przypominającego.

Nie wiele więcej jak dziesięć lat temu autor rozprawy o „Postępie i Nędzy“, Henryk George, głosząc w swych prelekcjach sławę radykalnego posła z Birmingham, przeznaczył „obywatela“ Chamberlain'a na pierwszego prezydenta rzeczypospolitej brytyjskiej. Wprawdzie zagorzały ten wielbiciel był nie wygodnym, lecz nie było to żadną tajemnicą, że dzisiejszy przyjaciel zachowawców w zaraniu swej kariery poselskiej hołdował zasadom republikańskim. Jakoż wycieczki najradykalniejszego posła z radykałów, wymierzone przeciwko koronie i izbie lordów przechodziły namiętnością swą wystąpienia wszystkich



jego kolegów. Zarzucał on izbie wyższej, że postępowaniem swem wytworzyła głęboki przełom pomiędzy Anglią a Irlandyą, wyzyskiwała ją ekonomicznie, uciskała sekty protestanckie i nieustanną stanowiła zaporę do wyswobodzenia warstw niższych z pod władzy możnych. „Zbyt długo byliśmy narodem ujeżdżanym przez panów!“ — wołał w r. 1885. Nie mniej goraco przemawiał za wyemancypowaniem kościołów sekciarskich z pod hegemonii kościoła anglikańskiego, oraz za nadaniem żywiłowi świeckiemu przewagi nad duchownym w nadzorach szkolnych. Irlandyi pragnął nadać jak najdalej idący samorząd, a więc utworzyć radę narodową w Dublinie, któraby była ciałem nadzorczem zarówno jak ustawodawczem, decydującem we wszystkich sprawach, dotyczących zielonej wyspy. Też radzie chciał przekazać do załatwienia sprawę agrarną i edukacyjną i wyposażyć ją we władzę ustanawiania skali podatków komunalnych. Chłubił się on, iż był home-rule'istą przed Gladstonem i dziś jeszcze twierdzi, że wiernym pozostał przekonaniu, iż kwestya irlandzka jest pierwszorzędną kwestyą państwową i narodową, a „uspokojenie umysłów w Irlandyi zawisło od ustępstw na jej rzecz, od nadania jej samorządu.“ Innemi słowy p. Chamberlain był autorem projektu popularniejszego i dalej idącego od innych wniosków, które ujrzały światło dzienne w tej epoce.

Powyższe poglądy należy opatrzyć datą r. 1885. Z biegiem czasu bowiem przeobraziły się paragrafy tego programu do nie poznania, poszły do kosza ten i inne programaty, które stawały ku dowolnemu użytkowi wszystkich niemal kół parlamentarnych. Credo p. Chamberlain'a z r. 1885 w gruncie rzeczy różni się niezmiernie od dzisiejszego, lubo Joe — jak zwykle go nazywają gazety — czynione mu zarzuty chwiejności i zmienności przyjmuje zwykle z uśmiechem pobłażania, tłumacząc, że nie „Józef z Birmingham“, lecz okoliczności się zmieniły. Trudno wszakże dopatrzeć się tak ogromnych zmian w okolicznościach, któreby umotywowały radykalny przewrót, który przez lat dziesięć zaszedł w jego poglądach i stanowisku. Ile razy nadarzy się sposobność, aby zadokumentować swą rzekomą zgodność z wygłaszanemi dawniej przekonaniem, zręczny parlamentarzysta ma zawsze w pogotowiu argument, usprawiedliwiający głosowanie z opozycją.

W ciągu urzędowania liberałów partya p. Chamberlaina różniła się zaledwie pozornie od zachowawczej. De facto zatem od bieguna radykalizmu przewędrował on do bieguna konserwatyizmu z niezrównaną zręcznością urodzonego akrobata.

W r. 1885, wygłaszając takie zasady, był bożyszczem liberałów, domniemanym następcą Gladstona. t. j. pierwszym radykalnym prezesem ministrów w Anglii. Natomiast konserwatyści przepowiadali, że w tym okropnym dniu, w którym Joe stanie u steru administracyi, rozpocznie się era socjalizmu i nastąpi koniec wszech rzeczy. Tymczasem w dwa lata później rzeczy uległy innej zmianie.

Bohater, który miał poprowadzić radykałów do zwycięstwa, stał się — Judaszem. Jeden z byłych jego kolegów dowodził nawet, że miano Judasza jest zbyt pięknem dla posła z Birmingham, bo zamiast jak biblijny Judasz powiesić się, udał się on w podróż po Judei jako gość i przywódca faryzeuszów, mniając siebie istotnym i jedynym apostołem, a zwąc innych apostołów odszczepieńcami. Dość, że przydomek Judasza uczeplił się p. Chamberlain'a. Przy ostatnich wyborach jeszcze uważali Gladstoniści nienawiść sfer radykalnych ku niemu jako potężną broń przeciwko opozycji.

Wyłamanie się p. Chamberlain'a z pod laski Gladstona, przypisują ogólnie politycy względem czysto osobistej natury. Położywszy wielkie zasługi około partyi wielkiego starca, liczył on na to, że zostanie powołanym do grona ministrów. Vox populi przeznaczył mu tekę ministra dla Irlandyi. Dla jakich powodów Gladstone pominął go zupełnie przy tworzeniu gabinetu, historia dopiero objaśni. Nastąpił przełom i p. Chamberlain objął dowództwo na odłamek liberałów-anti-home-rule'istów. Przyłożywszy ręki do zwycięstwa Gladstone'a, teraz czynił wszystko w swej mocy, aby podkopać władzę jego. Nazywając go jak dawniej „przyjacielem“ — my Right Honorable friend — nie pominął najdrobniejszej sposobności, aby nie natrzeć na niego z bezprzykładną bodaj zaciętością, zrównoważoną jedynie przez kilku posłów irlandzkich przy innych okazjach. Utarczki dwóch tych świetnych mowców składają się na najciekawsze karty w rocznikach izby gmin.

Są politycy, których wynosi na wyższe szczeble uznanie i tacy, których nienawiść oponentów otacza aureolą. P. Chamberlain należy do tych ostatnich. O ile dawniej napaści torysów przysparzały mu miru w gronie Gladstone'istów, o tyle od r. 1887 napaści radykałów zawierały dawną niechęć torysów, czyniły go sympatyczniejszym partyi Balfour'a i — popychały w ramiona tejez.

Lecz, jak powiedzieliśmy wyżej, p. Chamberlain zdaje się nie dostrzegać swej zmiany frontu; tłumaczy, że „nie liberalniunioniści zblżyli się do zachowawców, lecz odwrotnie, on przy-

ciągnął ku sobie torysów. Dałoby się przytoczyć kilka faktów, zadających temu twierdzeniu kłam emfaticznie, aczkolwiek przyznać trzeba, że idąc ręką w rękę z p. Balfour'em, Chamberlain z generała dywizji stawał się głównodowodzącym. Atoli ile razy brał inicjatywę, było to li tylko, aby nie skrupulatnym manewrem pokonać rząd. Jego to czujności i wpływowi przypisać należy nie spodziewaną klęskę gabinetu Rosebery'ego przy obradach nad dostawami amunicji. Mniej bowiem zapalczywy przywódca konserwatystów, lubo losy liberalnego gabinetu trzymał w swem ręku, nie pragnął natychmiastowego upadku rządu, sądząc, że „owoc nie dojrzał jeszcze“ i że czem dłużej pozostanie Rosebery kierownikiem spraw państwowych, tem dobitniej uwydatni się w oczach sfer wyborczych impotencya jego gabinetu. Nigdy p. Chamberlain nie zużył swego wpływu na inne cele. Za przyrzeczoną sobie tekę ministeryalną robił następstwa ze swych zapatrywań i lubo wielokrotnie proklamował swą zgodność z dwoma postulatami Harcourt'a: zmianą ustaw dzierzawnych w Irlandyi i reformą kościelną w Walii, znajdował w końcu furtkę, którą wycofywał się mniej lub więcej zgrabnie.

Zmieniając etykiety, z którymi politycy występują przed społeczeństwem, nadając ich brzmieniu coraz to inne znaczenie i przechodząc z lewicy na prawicę, p. Chamberlain pozostał w gruncie rzeczy tym samym, t. j. człowiekiem, którego kamertonem charakteru jest jego ja. Nie śmielibyśmy pomówić go o faryzeuszostwo, bo namiętny i nerwowy ten polityk nie jest z tych, którzyby byli zdolni zamaskować swe przekonania na dłuższy przeciąg czasu. Jako idealista, z oczyma bielmem ambicyi zasłoniętymi, znajduje on zawsze wytłumaczenie swych postępów, osłania swe ewolucye sofizmatami, systematycznie mami sam siebie, pobudki natury osobistej strojąc w pozory racyj idealnych.

Jeden z znanych publicystów, Mr. Stead, zwie go człowiekiem chwili, określenie, pod którym rozumiemy wrażliwego polityka, przejmującego się doniosłością chwili tak silnie, że wobec narzucającego mu się zdania, wszystkie inne opinie wydają mu się fałszywemi. Skutkiem tego zapomina, że kiedyś o danej kwestyi głosił wręcz odmiennie zdanie. Gdy zaś opo-nenci wykażą mu rażąco brak konsekwencyi cytatami z dawniejszych przemówień, zwała winę na okoliczności. Owcześnie Chamberlain — mówi sobie idealista w głębi duszy — nie mógł mieć nieracyi, bo był to przecież — Chamberlain. Poglądu swego nie zmienił wcale, a jeżeli później odmiennie zajął stanowisko, to li tylko dlatego, że okoliczności . . .

Wszystkie rozliczne jego programaty w jednym punkcie wykazują zgodność; wszystkie mówią dużo o polepszeniu doli proletaryatu. Niema powodu wątpić, że położenie warstw niższych istotnie leży mu na sercu. Emerytury dla wysłużonych sędziwych robotników, ustanowienie trybunałów polubownych, rozstrzygających w sporach handlowych, zmniejszenie godzin pracy dla górników, nadanie władzom lokalnym prawa udzielania pożyczek robotnikom — te i inne postulaty figurują w programie jego przed trzema laty ogłoszonym. Dotąd Joe nie odstąpił od nich. Atoli „okoliczności“ spaczyły już tyle jego dobrych zamiarów, że, aby uwierzyć w niezłomność jego dążności, trzeba czegoś więcej prócz zaręczeń. Jako minister w konserwatywnym gabinecie ma daleko większe widoki przeprowadzenia tych postulatów, które by zatonęły z pewnością w izbie lordów, gdyby je przedłożył Chamberlain — radykalista. Ale w łonie gabinetu napotka różne „okoliczności“ w postaci Salisbury'ego i innych i pytanie, czy pod ich wpływem i ten programat nie pójdzie do kosza.

Naturalnie polityk tego pokroju wywołuje najsprzeczniesze sądy. Wszyscy jednakże zgodzą się na to, że p. Chamberlain jest najświetniejszym mówcą parlamentarnym, który, w miarę jak rośnie w lata, przesadza sam siebie. A nie brak w izbie gmin współzawodników; i tak po stronie rządowców dość wskazać na p. Artura Balfour'a, dżentelmena i męża stanu w każdym calu, mówcę nacechowanego głębokim i filozoficznym nastrojem umysłu, a na ławach opozycji na gotowego zawsze do boju Harcourt'a, lub ściślego i energicznego mówcę, Asquith'a, ex-ministra spraw wewnętrznych, albo wreszcie na Irlandczyków: Sexton'a i Dillon'a. Żaden z nich jednak nie dorównuje świetnością i olśniewającą błyskotliwością swady panu Chamberlain'owi, oraz ogromnym darem przekonywania słuchaczy. Mowy jego jako takie, cięte, potoczyste, odznaczające się literackim zacięciem są bezwątpienia najciekawszą lekturą w rocznikach parlamentu. Polityk mniej bogato wyposażony pod względem retorycznym byłby dawno zatonął w zaczarowanym kole sprzeczności, w którym ugrzązł minister kolonii. Tymczasem on na każdy temat powiedziec gotów znakomitą mowę, co mu nie przeszkadza równie pięknie i gładko dowodzić przeciwnej tezy, wygłaszając swe poglądy z werwą i siłą, czyniącą nie małe wrażenie na słuchaczach.

Bezpareyalnie i wybornie określa go liberalna Westminster Gazette, tak pisząc: zupełna prawda, że p. Ch. jest najznakomitszym mówcą; nie było nikogo, któryby go pod tym względem przesadził, a świetność dyalektyki jego wzrasta

z dnia na dzień. Dostarczył on wyczerpującą wiązkę argumentów z prawie każdego punktu widzenia w polityce: za homerulem i przeciwko usamowolnieniu Irlandyi, za obaleniem izby lordów i zachowaniem jej przy życiu, za rozłączeniem spraw poszczególnych kościołów i przeciwko dążnościom separacyjnym. Określił on konserwatyzm ze stanowiska radykalizmu i na odwrót radykalizm ze stanowiska konserwatyzmu, podjął kolejno każdego z wybitnych mężów stanu: Gladstone'a, Salisbury'ego, księcia Devonshire'a, Goschen'a i innych i wystawił ich naprzód jako szatanów, a potem jako aniołów, lub vice versa. Wielkie postulaty, które przed laty dziesięciu były jądrem demokracji i miały zawieść ją do ziemi obiecanej, dziś stały się w jego oczach — halucynacyami chorych umysłów“.

Obecnie Joe wstąpił w drugą fazę swej działalności politycznej. Uważając urząd burmistrza w Birmingham za wstęp, albo epokę przygotowawczą, pierwszym okresem jego kariery jest dziesięciolecie poselskie, rozpadające się na dwie części: na epokę radykalną i umiarkowaną. Teraz wstąpił na arenę polityki cesarskiej.

Jako minister kolonii będzie mógł zakosztować do syta uciech panowania nad „Więszą Brytanią“. A doba obecna nastrocza niemalą sposobność do wykazania zdolności administracyjnych i finansowych dla człowieka czynu. Pominąwszy kilka spraw pomniejszych, stosunek Francyi do Anglii zaostrażający się coraz więcej, w miarę jak wzmagą się gorączka kolonizacyjna Francuzów, budzi żywy interes. Czas położyć koniec rywalizacyi dwóch sąsiadów nad Mekongiem, Górnym Nilem i na wybrzeżu Kości Słoniowej! Lecz, pomimo niepospolitych zdolności, nieprzychylnie usposobiony dla Francyi, a namiętny i ambitny minister mógłby raczej stan rzeczy pogorszyć. Są liberalni posłowie, którzy utrzymują, iż sięgnął on po tekę ministra kolonii w celu wywołania wojny z Francją. Nie umotywowane niczem twierdzenie to trzeba kłaść na karb nienawiści partyjnej, lecz wykazuje ono, jak wielką władzę przypisują mu politycy, przypuszczając widocznie, że „pies“ snadnie mógłby pokierować krokami „portyera“. Nie na tem wszakże jeszcze ogranicza się jego władza. Będąc przywódcą odłamu koalicyi, posiada w radzie ministeryalnej nader ważny głos, który z pewnością zaważy przy decyzjach rządu. Ale pozycya jego jest wysłaną cierniami, bo reprezentuje on o wiele słabszą część rządowców, torysi zaś patrzą na ex-radykała z ukosa, uważając go zawsze za anomalią w swem gronie. Tymczasem wprawdzie, dopóki homerule, owe straszdyło na torysów, jest na porządku dziennym, cenią oni sobie jego usługi, lecz czem

więcej zamieniać się będzie w błądą marę nocną, tem mniej będą skłonni czynić mu ustępstwa.

Józef Chamberlain jest wymownym dowodem, jak wysoko zawieść może w życiu niespożyta energia, niezachwiana wiara w siebie i ambicya, wyniesiona niemal do godności politycznego dogmatu. Stojąc obecnie bodaj czy nie na najwyższym szczeblu swej sławy, imponuje — w pierwszej chwili przynajmniej — nawet swym wrogom, bo sam fakt, że zwyciężył w turnieju politycznym, przemawia za jego taktyką w oczach ziomków, aż nadto podlegających urokowi sukcesu i aż nadto zdolnych do wchodzenia w kompromisy. Tem tłumaczy się też wzrost jego partyi, tem usiłowania radykalnego pisarza pana Steada uniewinnienia „Judasza“. W efektownem tem świetle zbladły ujemne jego strony: rażąca chwiejność przekonań, brak ideałów, bezwzględność w taktyce, arogancya i pewna brutalność. Porównując go z innymi mężami stanu, przyjdziemy do przekonania, że o ile od wszystkich stoi niżej pod względem etycznym, o tyle zdolnościami przerasta ich. Jedyńy p. Balfour może się z nim zmierzyć z widokami zwycięstwa.

Wogóle jego duma, siła woli, determinacya posunięta aż do uporeczywości, oraz wygórowany egoizm znamionują w nim typowego anglika. Natomiast niestałość przekonań, poddanych pod względy osobiste, dar szybkiego decydowania się, bezwzględność w postępowaniu, gorączkowe uganianie się za sukcesem i nerwowy temperament, czynią z niego postać polityka amerykańskiego.

Na pytanie: dokąd zmierza? jedna jest tylko dobra odpowiedź:

„Nie wiadomo, bo on zaprzepaścił wszystkie swe wskazówki na drogę“.

*Londyn w sierpniu 1895.*

*M. Wierzbński.*



## Lukrecyusz i nowoczesny pesymizm.

W dziejach ludzkości zjawiają się typy, według których wzorują się całe pokolenia i nieraz po kilku wiekach wychodzi na jaw, że nowe na pozór prądy myśli ludzkiej i nieznanne hasła są tylko echem głoszonych już pierwej problemów, oddźwiękiem odczutyh przez kogo innego myśli, przeżytych cierpień i boleści.

Nic w tem dziwnego, we wszystkich przejawach myśli ludzkiej istnieje ściśle następstwo przyczyn i skutków, sztuka i poezya dzisiejsza ma racyą bytu nie w terażniejszych tylko przedstawicielach, ale w duchowych ojcach dzisiejszej generacyi.

Nieraz w szukaniu tych przodków trzeba iść bardzo daleko i nie będzie to zgoła paradoksem, jeżeli Lukrecyusza nazwiemy twórcą pesymizmu nowożytnego. Postać to wielce ciekawa i charakterystyczna.

Żył w czasie, kiedy cywilizacya starożytna była w dobie najwyższego rozkwitu, państwo stało na szczycie potęgi. Tymczasem poezya jego tchnie takim bezmiarem rozpachy i zwątpienia, jakby współczesny poecie świat cały rozpręgał się, tracił podstawy bytu i zapadał się w chaos nieładu.

Weźmy np. pod rozbiór naczelný jego poemat „De natura rerum“, w którym poeta rozwija naukę o atomach, którą po tylu wiekach stwierdziły wielkie odkrycia Lavoisiera, Haeckla, Darwina i Spencera.

W dwustu ostatnich wierszach czwartej księgi poeta pogłębia wszystkie cierpienia, płynące z ulegania namiętnościom, potem przedstawia męczarnie wyrzutów sumienia, zgraje szalbierzy i oszustów, mordy i wszystkie namiętności, prowadzące ludzi do tego, że stają się uczestnikami, lub najemnikami zbrodni.

Pozornie temat to banalny, zwykły konik do harców dla wszystkich moralistów religijnych i świeckich.

Nikt jednak nie bryzgał tak w oczy jadem goryczy i żółci, nikt nie czuł tak serdecznej pogardy dla życia, niosącego z sobą

pragnienia nie do urzeczywistnienia i cele na zawsze nieuchwytnie, nikt tak niemilosiernie nie chłostał wszystkich ludzi bez wyjątku jako czeredę istot bezmyślnych, trzodę błędną i jeno wzgardy godną.

„O miseras hominum mentes, o pectora coeca!  
Quantis in tenebris vitae, quantisque periclis  
Degitur hoc aevi, quodcumque est!“

Lutnia Lukrecyusza zna jeden tylko zgrzyt potępienia dla ludzi, tego spodłonego na duszy i ciele rodu helotów, płaszczących się przed biczem przemocy i urokiem mamony.

We wzajemnej zaś walce o byt — in *lucta existendi* — bo i to wyrażenie napotykamy u starorzymskiego poety, ci niewolnicy gryzą się i szarpią wzajemnie, każdy z nich nie wahałby się najmniejszej sumy szczęścia okupić kawałkiem mięsa, wykrojonym na żywym organizmie drugiego.

Najsmutniejszym atoli, że żądza życia i użycia nigdy nasycić się nie da, nie pozwoli człowiekowi wybrnąć z błędnego koła pragnień; życie więc jest złem samo w sobie, jest to *πρωτον φεῦδος* natury ludzkiej, śmierć natomiast jest jedyną wybawicielką człowieka, nicestwo i sen nieprzespany, rezygnacya i wyrzeczenie się wszelkich pragnień i aspiracyj powinno być celem ostatecznym mędrca.

Kto zna poetów nowożytnych, przyzna, że wszyscy bez wyjątku Leopardi, Chateaubriand, Byron, Alfred de Musset, Heine, że nawet i wielu z naszych poetów polskich, o ile dotyczą zagadnień ogólnoludzkich, wyznają tą samą teorię nieszczęścia — *infelicità* — że tak samo smutnie marzą i tak gorzko się żalą.

I dla ich szerokiej natury, dla bezbrzeżnej zdolności używania wszystkie tryumfy i rozkosze życia są za nikłe i za marne. Nie masz wienców i pomników, któreby się wydały dostatecznie godnymi ich ambicyi, przez życie idą smutni i nienasyceni, pytając, czy życie warte jest życia, jeżeli skazuje człowieka na wieczną rozterkę i sprzeczność z samym sobą.

Nie znajdując spokoju ni w wiedzy, ni w sławie, ni miłości, zawodzą jeden tylko dytyramb rozpaczy nad gruzami najpiękniejszych snów i marzeń, dla ziemi znają jeden tylko uśmiech goryczy i zwątpienia, historią boleści życia streszczają w jednym, wiecznie i na wszystkie nuty powtarzanym okrzyku: *Vanitas vanitatum et omnia vanitas!*

Mimo pozornej trzeźwości ducha i pozytywizmu schyłkowców ten „*Weltschmerz*“ wlece dalej swój żywot, werteryzm pokutuje w wielu i trwać będzie, póki istnieje ludzkość, a z nią jej nieszczęścia i nędze.



Dzisiejszy pesymizm jest nawet stokroć gorszym od zwątpienia starorzymskiego poety.

Dziś patrzymy na schyłek drugiej wielkiej cywilizacji, niebo innych, daleko piękniejszych i wznioślejszych wierzeń zwalono w gruzy, ludzkość cała wyczekiwanu nowych przeobrażeń świata i nowych objawień.

„Wypili mędracy na Boga pogrzebie  
Kielich swej pychy.  
Bóg umarł, ale nie w niebie,  
Umarł ale w ich w duchu.“

Olbrymie postępy cywilizacji, gorączkowe życie w jej centrach wielkomiejskich i we wzorującej się na ich modłę prowincyi, a nawet zaciszu domowem zwiększają jeno złe, rodząc coraz to nowe potrzeby i wprowadzając nerwy w wieczny stan przedrażnienia.

Starożytny Rzymianin giął się przed racją stanu, uznawał świętość *rationis romanae*, średniowieczny myśliciel szukał rozwiązania zagadki życia w wierze i po długiej odysei w niem, przybijał jak do portu, do zasady Augustyna:

„Niespokojnem jest serce nasze, dopóki nie odpocznie w Tobie, Panie! *Irrequietum est cor nostrum, donec requiescat in Te, Domine!*“

Człowiek nowożytny, ta wiązka nerwów bez rozumu i wiary, cierpi, nie chcąc cierpieć i nie wiedząc, dlaczego cierpieć musi.

Nie dziw więc, że zżyma się na życie, jako na żgający wiecznie bodziec cierpienia, potępia bezwzględnie wszelką chęć rozkoszy, kończącą się innem, stokroć gorszem bankructwem przesytu, czczości i onego najokropniejszego stanu, który nowożytni symboliści określają „wygnaniem duszy z pod wrót raju“. Któż nie widzi tu tego samego uśmiechu ironii i pesymizmu Lukrecyusza, kończącego opis libacyj na cześć Venery i Priapa, miłości kobiet i efebów, okrzykiem:

*Nec tamen explemur vitae fructibus unquam...*

„Biesiadnicy zrzucicie wieńce godowe, w puharach wina kreteńskiego i wschodnich małmazyj nie utopicie trosk życia; bogi stworzyły was na igraszkę, zabić się wam potrzeba, nie szukać chwilowego zapomnienia w szale pianej biesiady.

Przed każdym z nas ucieka nieuchwytny cel pragnień, w porównaniu z tem, do czego dochodzimy, niczem jest to, czego jeszcze nie znamy, a mimo to pragniemy.

Mamy kapryśną naturę zdetronizowanych królów i lepiej zabić się z majestatem króla, niż cierpieć na arenie życia jako podły niewolnik, lub płatny przez uliczną gawieź gladiator“.

Rzecz dziwna, przed niedawnym czasem pojawiły się chciwie rozchwytywane poezye p. Ackermann i Leconte de Lisle, których natchnieniem są te same dogmata, a raczej dogmatu przeczenia.

P. Ackermann oburza się na życie, powiadając wymownie:

Igraszką huraganem wieczyście miotaną  
 Jest to życie człowieka, my zaś rozbitkami,  
 Dołą naszą wciąż patrzeć na tę łódź strzaskaną,  
 Gnana z fali na falę burzy podmuchami.  
 Jeśli rozpacz w niej tylko — u steru zwątpienie,  
 Demon życia złowrogi, fatalizm żelazny,  
 Ktożby chciał się w niej puszczać na pewne zniszczenie,  
 Chyba tylko naiwni, szaleńcy i błazny.

Jak cały pesymizm Lukrecyusza niknie na widok słońca i piękności wszechświata, tak samo i nasi wszyscy poeci w podziwianiu natury i jej potęgi, widnej w barwach tęczy i jutrzenki, w spokojnym życiu kwiatu i w rozszalałych odmętach oceanu widzą panaceum na wszystkie bolesti życia. Ale i to ostateczne lekarstwo zawodzi, uspokojenie nie trwa długo. Człowiek w wiecznie twórczych siłach przyrody widzi bolesti i wysiłki porodu, w każdym kielku życia zarody nieuniknionego wyczerpania, osłabienia i śmierci. Dążność do nicestwa jest podścieliskiem tworzywa wszechbytu i znów duszę, podziwiającą krasę kwiatu strzelającego z osłon pączka, ogarnia smutek i zwątpienie na myśl o przyszłych możliwych kataklizmach, kiedy planeta nasz zabłąka się kiedyś w swej wędrówce w przestrzeni i rozleci w atomy.

Takie pojęcie natury jako wewnętrznej siły i racji bytu, ale siły głuchej i ślepej jest jednym i tym samym z popędem i wolą życia — z „Nieświadomem“ Hartmanna, jest ową nieskończonością kosmiczną, na przemiany to wielbioną i ubóstwianą, to znów przeklinaną przez wszystkich pesymistycznych poetów 19. wieku.

Rzućmy okiem na którąkolwiek stronicę np. „Destinées“ Alfreda de Vigny, a napotkamy prawie to samo uskarżanie się na naturę głuchą i niemą wobec wszystkich cierpień człowieka.

Elle me dit: Je suis l'impassible théâtre.  
 Que ne peut remuer le pied de ses acteurs . . .  
 Je n'entends ni vos cris, ni soupirs: à peine  
 Je sens passer sur moi la comédie humaine

Qui cherche en vain au ciel ses muets spectateurs . . .  
 On me dit une mère et je suis une tombe ;  
 Mon hiver prend vos morts comme son hecatombe,  
 Mon printemps ne sent pas vos adorations.

Ziemia mi szepce : Jam nieczułą sceną,  
 Nie zmienię ni jednego mych aktorów drgnienia,  
 Nie słucham, jakie jęki z waszej piersi płyną ;  
 Jam ziemią — ziemia cierpień ni w jotę nie zmienia.  
 Nazywacie mnie matką, jam tylko mogiłą . . .

Ten kontrast między potężnymi siłami przyrody, a człowiekiem, martwy i nigdy niezakłócony jej spokój wobec wszystkich duchowych jego boleści i konań wewnętrznych, stanowi jeden z najrzewniejszych tonów zarówno Lukrecyusza, jak i wszystkich poetów, a nawet i romansopisarzy nowożytnych.

Leconte de Lisle prawie ciągle uderza w ten akord :

„Myślałem . . . A drzewa chyląc swe konary  
 Kończyły dalej szept, nie dając posłuchu,  
 Nie wiedząc, że cierpię i że umrzeć mogę !  
 Natura się natrząsa z boleści człowieka,  
 Wiecznie tylko we własne swe cuda wpatrzona,  
 Niezmienna, nieugięta, kiedy on się wścieka,  
 I pod troski brzemieniem ugina się . . . kona.“

Ta antyteza między spokojem natury, niepowstrzymanej niczem pracy, a szamotaniem się serca ludzkiego, wytworzyła kult „cierpienia ludzkości“ i jest przyczyną melancholii, tkwiącej na dnie także i współczesnej nam poezji.

*Karol Wróblewski.*



## 212. rocznica Sobieskiego pod Wiedniem.

Wobec zbliżającej się 212ej rocznicy odsieczy Wiednia oblężonego i srodze uciśnionego przez Turków w r. 1683, sięgam pamięcią do czasu, gdy przybywszy w 1851 r. do Wiednia na ukończenie studiów prawniczych dowiedziałem się, że pozostały po Kamedulach, i od 1782 r. po zniesieniu klasztorów przez cesarza Józefa II. zamknięty, a od 1809 r. zupełnie opustoszały kościół klasztorny, staraniem ówczesnego właściciela Kahlenbergu, majstra ślusarskiego Jana Finsterle, restauruje się i w następnym roku, w rocznicę odsieczy, 12. września 1852 r., poświęcony będzie.

Oceniając doniosłość wiekopomnej odsieczy z 1683 r. i przy pomocy oręża polskiego pod dowództwem króla Jana III., sławnego pogromcy Turków, odniesionego zwycięstwa, pospieszyłem i ja z ludkiem wiedeńskim na konsekracyą odnowionego kościoła, by na tem miejscu, gdzie Jan III. dodnia przed 169 laty księdzu Kapucynowi Marco d'Aviano do mszy św. służył i sakrament św. Komunii przyjął, podziękować Panu Bogu za zwycięstwo nad wrogiem chrześcijaństwa i oddać cześć pamięci naszego króla-bohatera.

I odtąd rokrocznie byłem w tę rocznicę i w tej intencji na mszy św. w kościele św. Józefa na Kahlenbergu. A gdy się zbliżała dwuwiekowa rocznica tej pod Wiedniem stoczonej bitwy, która ostatecznie złamała potęgę muzułmańską w Europie, starałem się usilnie o to, ażeby na tej górze na pamiątkę tego przełomu stanął pomnik, któryby dawał po wszystkie czasy świadectwo, że stolica austriacka uratowana ongi za przeważną pomocą wojska polskiego, bez której odsiecz miasta byłaby absolutnie niemożliwą, wdzięcznie pamięta o Tym, który z odległego kraju swego na obronę chrześcijaństwa pospieszył. Wielu zacnych mężów w Wiedniu popierało mój plan; lecz niechęć zwłaszcza reprezentacyi gminy była wtedy ku nam Po-

lakom nieprzelamaną. Nie będę tu wyluszczał powodów tej niechęci, ani się zastanawiał nad tem, czy nie leży ona raczej w charakterze ludzi pospolitych, którzy stojąc na wybitnem stanowisku nie mogą się w danej chwili wznieść nad poziom niskich poglądów. Znam ja tych panów na wylot . . . .

Oto, na co się Rada gminy wiedeńskiej w tej mierze zdobyła: nad głównymi dzwiami kościoła, nad któremi w nyży była statua patrona jego, św. Józefa, umieszczono po przeniesieniu tej statuy na inne miejsce marmurową tablicę z niemieckim napisem, który w polskiem tłumaczeniu brzmi:

„Z tych gór rankiem 12. września 1683 r.

Jan Sobieski, król Polski,

ces. Generał-Porucznik książę Karol V. Lotaryński,

Elektorowie Jan Jerzy III. Saski i Max Emanuel Bawarski,

Książę Jerzy Frydryk z Waldeck,

Margrabiowie Hermann i Ludwik Wilhelm Badeńscy

i inni dowódcy z wojskami

Cesarza Leopolda I.

jakoteż z niemieckimi i polskimi posiłkami ruszyli do bitwy ku oswobodzeniu od tureckiej mocy wojennej sześćdziesięcio i jednodniowem oblężeniem ciężko uciśnionego miasta Wiednia.

Na pamiątkę sławnego zwycięstwa wojska odsiecznego  
wdzięczne miasto Wiedeń, 12. września 1883.“

Głównym obchodem tego dnia, niejako punktem ciężkości ku zachowaniu go w przyszłej pamięci, było uroczyste otwarcie nowego wspaniałego ratusza wiedeńskiego, bogdaj czy nie na to, aby niem zatrzeć wspomnienia odsieczy z r. 1683.

Lecz mniejsza z tem. Tyle szczegółów ciśnie mi się do głowy, daremnych zabiegów tak moich jak i tych zacnych mężów, którzy z zapałem myśl moją urzeczywistnić się starali, że nie małą mam trudność w wyborze tego, co tu na papier przełać, a co raczej pominąć i przemilczeć należy.

Nie godzi się jednak nie wspomnieć o księdzu Urbanie Loritz, proboszczu w dzielnicy wiedeńskiej Schottenfeld, który przez długi szereg lat w rocznicę odsieczy w towarzystwie licznych parafian swoich na Kahlenberg wychodził i tamże w kościele solenne odprawiał nabożeństwo na podziękowanie Bogu za uratowanie chrześcijaństwa od podboju tureckiego, poczem zwykły był w zakrystyi objaśniać pobożnym towarzyszom tej corocznej wycieczki ważność tego dnia dla Wiednia w szczególności i dla całej Europy wogóle.

Ten przeznaczny pasterz umarł niestety w 1882 r. i nie dożył zbliżającego się 200letniego jubileuszu odsieczy Wiednia, którą tak wiernie zawsze święcił.

Z nim ustąpił najsilniejszy mój sojusznik w sprawie zamierzonego godnego uczczenia pamięci króla Jana III. I ciszej było po r. 1883, jak może nigdy przedtem. Tablica pamiątkowa nad drzwiami kościoła przypomina dzisiaj te nagrobki, które zarośnięte drzewami i krzewami nie pozwalają przechodniom odcyfrowania na wpół zwietrziałych napisów i imion tych, których pamięci poświęcone zostały. Gałęzie brzoź zasadzonych przy odsłonięciu rzeczonyj tablicy marmurowej w 1883 r. po obu stronach drzwi kościelnych, zasłaniają dzisiaj w przeważnej części napis, który sam przez się zanikać zaczyna.

Niestało księdza Urbana — więc ustały też i nabożeństwa pamiątkowe w rocznice odsieczy — i smutno mi było, gdy moim zwyczajem wychodząc w tym dniu niespożytej sławy dla Krzyża św. i dla miecza polskiego na Kahlenberg, zastawałem zwykle kościół jeżeli nie zamknięty, to przynajmniej pusty. Ani księdza, ani ludzi nie widziałem.

Nareszcie, gdy w 1892 r., 12. września, w lat czterdzieści po ponownem ostatniem poświęceniu kościoła wstąpiłem w jego progi, zastałem tam jedyną osobę, kapłana modlącego się w ławce. Po chwili opuściliśmy obaj ciszę kościelną, a przedstawwszy mu się poznałem w nim nowego beneficjanta (kapelana) przy kościele św. Józefa, nazwiskiem Józef Hemberger, który z prawdziwie kapłańską radością przyjął mój zamiar, by w następnym roku, jako w pierwszym dziesięcioleciu trzeciego stulecia po odsieczy Wiednia, kolonia polska w Wiedniu obchodziła uroczystem dziękczynnem nabożeństwem w tym kościele tę pamiątkę.

Ks. Hemberger polecił mi porozumieć się z ks. Neumayer, proboszczem w Kahlenbergerdorf, ponieważ Kahlenberg (Josefsdorf) wraz z kościołem do jego parafii należy, i z p. drem Gustawem Benischko, jako teraźniejszym właścicielem i kolatorem kościoła św. Józefa. Rokowacia z tymi panami poszły bardzo gładko, gdyż obaj życzliwi się okazali moim zamiarom, a nadto ks. proboszcz Neumayer, znakomity znawca historii, powziął też zamiar urządzenia osobnego solennego nabożeństwa w dniu 12. września 1893 r.

Otóż my Polacy, a mianowicie członkowie stowarzyszeń polskich w Wiedniu: „Biblioteki polskiej“, „Ogniska“, „Przytuliska polskiego“, nakoniec „Zgody“ i „Lutni“, dziś połączone w stowarzyszeniu „Strzecha“, obchodziliśmy w liczbie przeszło 100 osób tę pamiątkę uroczystem nabożeństwem z pol-

skiem kazaniem 10. września 1893 r. w niedzielę, jako dzień Jmienia Maryi, zaś nabożeństwo pamiątkowe urządzone staraniem i kosztem ks. proboszcza Neumayer, odbyło się bardzo uroczyście we dwa dni później, w samą rocznicę, przy licznych udziale nabożnych.

Ks. Neumayer przed nabożeństwem wygłosił znakomite kazanie, podnosząc zasługi niespożyte króla polskiego Jana III., położone dla chrześcijaństwa i monarchii austriackiej z jej stolicą, — kazanie, którego złote słowa zasługują, by złotemi literami zapisane były w sercach naszych na pokrzepienie ducha. Niech mi tu wolno będzie tylko parę ustępów zamieścić, które mnie do żywego wzruszyły, gdyż na tak gorące słowa nie byłem przygotowany. „Oto — mówił kaznodzieja — zjawił się król Sobieski ze swoim rycerstwem nad wszelkie spodziewanie muzułmańskich wrogów i za jego z łaski Bożej pomocą — sprawa Chrześcijaństwa wygrała. Wszyscy, od mieszkańców Wiednia aż do naczelników wojsk spełnili swoją powinność z prawdziwą pogardą śmierci; potomność to wdzięcznie uznaje. Jednak zjawienie się Sobieskiego było tym jęczyzkiem u wagi (das Zünglein an der Waage), który na korzyść zwycięstwa rozstrzygnął. Jego pamięć nie zaginie nigdy w prawdziwie chrześcijańskim świecie i będzie błogosławioną po wszystkie czasy. I tu nasuwa się rzecz do niepojęcia: ród Sobieskiego wymiera, Polska zostaje podzieloną między sąsiednie mocarstwa i przestaje być państwem samodzielnem, a nadto dostaje w udziale Sybir z całą zgrozą wygnania. Lecz, że walczyli za wiarę i li tylko za wiarę, więc zachowali wiarę Ojców swoich, i ani groźby, ani przemoc, ani nawet Sybir nie osłabia tej ich wiary. Podczas gdy Bóg inne narody zaślepieniem karze, naród polski jasno na świat patrzy —, i chociaż rozdarty, jednak łączny i silny wiarą i mową; my natomiast mimo naszej samodzielności i pod ojcowskiem berłem najlepszego monarchy rozpadamy się na stronnictwa, narody i kasty, ponieważ nie dochowujemy wiary ojców naszych.“

Drugi ustęp znakomity tego kazania księdza Neumayer: „Ambona nie jest miejscem, z którego wypada wydawać decyzję, czy w nadmiarze radości zanadto wysławiano króla polskiego, czy też skalpel krytyki historycznej niesprawiedliwie się z nim obchodzi. Tyle jednak z czystym sumieniem powiedzieć mogę, że bądź cobądź jest to dziwną rzeczą, jeżeli zbawcę w ciężkiej niedoli wynagradza się w ten sposób, iż stara się drobniautkami czerepkami krytyki zaciemnić ogrom jego zasługi.“

Gdyby baron Helfert był słyszał to kazanie w 1893 r., pewnie nie byłby się w rok później dopuścił niegodnego na

sławę Jana III. zamachu, umieszczonego na podstawie wydanej w 1894 r. w Paryżu broszurki nieznanego w świecie naukowym Francuza Jana du Hamel de Breuil, w wiedeńskim „Vaterlandzie“ z 1. września 1894 r. Już sama roztrąpność, aby nie okazać się niekonsekwentnym, powinna była powstrzymać tak poważnego męża, jakim jest baron Helfert, od napisania tego artykułu zatytułowanego: Eine Geschichtsfabel.

Przytaczam z tego artykułu ustęp:

„Wo liegt denn, so fragen wir zum Schlusse, die durch zwei Jahrhunderte in alle Welt ausposaunte „Hochherzigkeit“ des Königs Johann Sobieski?! In wie ganz anderem Lichte steht Carl von Lothringen da, welcher, wenn auch der Polenkönig den Oberbefehl führte, doch die eigentliche Seele, der klare Kopf und die edle Triebkraft der ganzen Action war. Er war der Hochherzige ihm dem nur Hochmüthigen gegenüber, er der Selbstlose ihm dem Selbstsüchtigen gegenüber, und wenn, was den militärischen Theil des Unternehmens anbelangt, einer als der Retter Wiens vor den Anderen herausgehoben zu werden verdient, so war es nicht Sobieski, sondern Carl von Lothringen! — Das sollten wir Oesterreicher weder übersehen, noch vergessen!“

Jakże to pogodzić z tem, co ten sam p. Helfert, omawiając odsiecz Wiednia, w swojej rozprawie historycznej umieszczonej w dodatku do „Wiener Abendpost“ w Nr. 90. tej gazety z 20. kwietnia 1880 r. pisał:

„Die Schlacht vom 12. September 1683 muss als ein grosses Ganzes aufgefasst werden, und aus diesem Gesichtspunkte bleibt es für alle Zeiten wahr, dass die Polen ein bedeutendes Contingent, weit über ein Drittel jener Heerschaaren gebildet haben, die zum Entsätze Wiens heranrückten; dass die Polen, deren persönliche Tapferkeit und Ritterlichkeit eine vielhundertjährige Geschichte über allen Zweifel erhebt, ehrlich mitgekämpft haben in dem gewaltigen Strausse zwischen der mitteleuropäischen christlichen Civilisation und der heranstürmenden muselmännischen Wildheit und Barbarei; dass es endlich Polens kräftiger Herrscher war, in dessen Hände am Tage der Entscheidung der Oberbefehl gelegt war, und der in dieser Eigenschaft die christlichen Streiter zum glorreichen Siege, zur schmachvollen Vernichtung ihres Erbfeindes geführt hat. Und in dieser Hinsicht ist Wien dem Könige Johann Sobieski und dessen Polen für alle Zeiten Lob und Preis und höchste Ehren schuldig.“



Tę najwyższą cześć oddaną królowi Janowi III. i jego rycerstwu w Twojej, panie Baronie, pracy na własnych historycznych badaniach opartej, cofnąłeś po latach 14 na podstawie małej i tendencyjnej rozprawki francuskiej, nazywając Twoje własne z historią zgodne ocenienie zasług oręża polskiego „Eine Geschichtsfabel“! Czy to uczciwie? Zaprawdę dosadnie zcharakteryzował ks. Neumayer w wyżej przytoczonym ustępie kazania swojego ten rodzaj krytyki takich historyków wobec zbawcy z ciężkiej niedoli, proroczemi słowy: „Dass es immer eine eigenthümliche Sache ist und bleiben wird, wenn man den Erretter aus schlimmer Zeit damit zu entlohnen sucht, dass man den Balken seiner Verdienste mit kleinlichen Splittern zu verdunkeln trachtet.“

Lecz wracam po tej małej odprawie danej panu baronowi Helfert do krótkiego opisanie dalszego rozwoju mojej myśli.

Opis obchodu samego w dniu 10. września 1893 r. umieściły gazety krajowe, jak „Nowa Reforma“ z 13. września 1893 r. Nr. 208, a za nią też inne.

Po nabożeństwie zaś 12. września odbytem postanowiło małe grono osób przy wspólnej uczcie, przeważnie z księży złożone, założyć książkę pamiątkową, w której każdoroczne nabożeństwo odprawione w dniu odsieczy ma być opisane.

Podobnie odbyło się solenne nabożeństwo staraniem i kosztem ks. proboszcza Neumayera 12. września 1894 r. na Kahlenbergu, o którym była wzmianka w „Przeglądzie“ lwowskim z 22. września 1894 r. Nr. 218.

Ażebym zaś te nabożeństwa nigdy nie ustały, postanowiono założyć też stowarzyszenie w tym celu, by utworzyć fundacyą na pokrycie kosztów takiego nabożeństwa i na zabezpieczenie tegoż po wszystkie czasy, ewentualnie, by w miarę wpływających datków członków zwyczajnych, członków-założycieli, lub wspierających, odpowiedni pomnik historyczny na Kahlenbergu postawić.

Dziś istnieje książka pamiątkowa od 1893 r.; Stowarzyszenie (bractwo) zawiązało się 16. sierpnia b. r. pod nazwą: „Kahlenberger Kirchenverein“ — i właśnie teraz wysyła odezwę publiczną do chrześcijańskiego świata Monarchii austro-węgierskiej z zaproszeniem do przystąpienia do tego stowarzyszenia religijno-patryotycznego, które z mieszkańców Wiednia powstałe, niewątpliwie zdoła pozyskać sympatyę i poparcie w najszerszych kołach chrześcijańskich.

Byłoby szczerę bardzo pożądaną, gdyby w myśl ustaw stowarzyszenia ktoś ofiarował dla kościółka na Kahlenbergu

portret Sobieskiego lub inną jakąkolwiek pamiątkę odnoszącą się do odsieczy Wiednia.

Najbliższe tegoroczne nabożeństwo odbędzie się staraniem stowarzyszenia w kościele na Kahlenbergu, 12. września we czwartek o godz. 10tej; Polacy obchodzić będą ten dzień pamiątkowy w następną niedzielę, 15. września, w dzień imienia Maryi, nabożeństwem w polskim kościele św. Ruprechta, a po obiedzie wycieczką na Kahlenberg w towarzystwie W. księdza Pietrzyckiego, kaznodziei polskiego w Wiedniu, który tam w kościele św. Józefa odprawi nieszpory dla nas.

Nie wątpię, że Rodacy licznie się zbięra, by dać świadectwo, że w uczczeniu swojego króla-bohatera nie pozostaną w tyle po za niemieckiem stowarzyszeniem kościelnem.

*Pius Twardowski.*





Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń  
w **Krakowie.**

(Dział ubezpieczeń na życie.)

Biura agencji jeneralnej  
na **Wiedeń**

znajdują się

**I. Bez., Hohenstaufengasse Nr. 9.**



# J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszczowych  
we Wiedniu, X. Alxingergasse 1. 35

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszczów. podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zaręczam, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowicią.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do udekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia. fotografie i kosztorys takowej franco.



## Pomada „Phönix“

na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona. jest wedle lekarskiego orzeczenia i tysięcy pism dziękczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek. aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, usunąć wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost wąsów. Zaręczam za skutek i nieszkodliwość. — Słoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.

**K. HOPPE**

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.



Jedyny w Wiedniu polski

**SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.**  
**Karoliny Czerwińskiej**

**I. Liliengasse Nr. 1**

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.